№ 10.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 3 maja 1845. Rok szósty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 19 kwietnia 1845.

Stroje damskie. Opiszemy naszym czytelniczkom trzy rodzaje strojów najświeższych, a to nietylko suknie lecz i resztę dodatków stanowiących całość ubrania. Najpierwej redyngocik z materii *poult de soie,* dwoma szerokiemi falbanami korunkowemi obszyty jedna na drugą spadającemi, a które dwie trzecie części spodnicy zakrywać powinny; zprzodu zaś rozdzielone od siebie rzędem guzików kratkowanych; stanik u tego redyngocika wysoko zachodzący, całkiem gładki, mocno kończasty, ubrany także rzędem guzików, które się schodzą z temi któremi ubrana jest spodnica; rękawy gładkie, z długiemi korunkowemi mankietkami; do tego stroju kapotka z materii *poult de soie,* ptakiem rajskim ubrana. Niemniej ładnym strojem jest suknia z zielonego peplinu, której spodnica ubrana w przodzie pasamonikami przyszywanemi w kształcie kolumn, z stanikiem gładkim, wysoko zachodzącym, w przodzie także pasamonikami ubranym; rękawy gładkie; do tej sukni kapotka z białego atłasu, obszyta wkoło główki rzędem korunek bardzo mało namarszczonych, kania również jest obszyta korunką; ptak rajski przypięty z lewego boku. Także suknia z adamaszku, koloru brunatnego, której przód spodnicy przystrojony atłasem w rurki układanym; stanik gładki, wysoko na ramiona zachodzący, a otwarty w przodzie przez całą swą długość; rękawy pół długie; pelerynka muszlinowa; kapelusz różowy, ubrany gałązką wierżby płaczącej.

Dawniej już o tem wspomnieliśmy że rańtuchy różnego rodzaju i kształtu są zawsze bardzo poszukiwane; jedne są z prawdziwego tyftyku, inne z materii albańskiej, z krepy chińskiej, korunkowe lub blondynowe.

Płaszczyki niebyły jeszcze nigdy tak wzięte jak teraz; krój ich jest wieloraki; wspomniemy tu o dwoch będących w największej wziętości: przy jednych peleryna jest tak obszerna jak spodnica od sukni; drugie są mniejsze dochodzące tylko niżej pasa; pierwszych przednie poły zupełnie są podobne do końców rańtucha, obszyte bywają falbaną wycinaną w zęby okrągłe, bardzo długie lub też bardzo drobne. Ponieważ te płaszczyki są bardzo obszerne, zatem szwy znajdujące się na ramionach, zbiegają na bok i przez to formują rodzaj półrękawów, które mogą być w potrzebie użyte. Płaszczyki takie robią się zwykle z najładniejszych jakie są teraz materij.

Kapelusze które najwięcej uwagę naszą ściągnęły, są z włoskiej słomy i zupełnie nowym kształtem; kapelusze te są głównie przeznaczone na wieś i do wód; są one dość niskie, z szerokiemi i spłaszczonemi brzegami, troche krótszemi po bokach niż zprzodu i ztyłu; wstążki do wiązania wychodzą ze środka; przystrajają się podług upodobania girlandą z fiołków, bukietem z róż, lub wstążkami różnego koloru.

Stroje męskie. Ponieważ tegoroczne *Longchamps* wypadło w porę niekorzystną, dwa pierwsze dnie bowiem były niepogodne a tylko trzeci piękny lecz chłodny; przeto niewidzieliśmy strojów innych jak tylko stroje zimowe albo półzimowe jakoto: paletotsaki, twedy, konfortable i inne które pokrywały niekiedy strój istotnie wiosenny. O tych wierzchnich strojach niebędziemy mówić bo one się dłużej jak pare dni nieutrzymają. To tylko zauważać godzi się że jak w strojach damskich tak i męskich pokazała się wielka rozmaitość materij, osobliwie piękne są materie na kamizelki jakoto: rypsy morowe z haftami dwukolorowemi tudzież tkaniny algierskie i wiele innych. Najmodniejsze materyjki na spodnie są w pa-

sy niebieskie na dnie chińskiem. Poźniej damy szczegółowy opis samych strojów.

Rycina przedstawia: suknię ślubną z trzema falbanami z korunek wstążką przewlikanemi, stanik gładki wysoki podobnie korunkami ozdobiony, na głowie girlanda z róż, welonem upięta. Druga suknia z mieniącej materii jedwabnej, z podwójną spodnicą, na boku otwartą, korunką i różami zpiętą, stanik z bertą korunkową. Trzeci szlafroczek z lewantyny w deseń, ubranie stanika i rękawów jest z tej samej materii, kapelusz jedwabny piórem ozdobiony. Tudzież frak i tużurek od przechadzki.

POJEDYNEK W GREAT WINGLEBURY.

ZDARZENIE PRAWDZIWE

Z ANGIELSKIEGO DICKENSA.

Małe miasteczko Great Wingleburý, jest ani mniej ani więcej jak czterdzieści dwie i trzy ćwierci mili od *Hyde-park* oddalone. Posiada ono długą, nierówną, pustą główną ulicę, ratusz z ogromną zegarową tarczą, targowicę, więzienie, salę publiczną, kościół, most, kaplicę, dom gry, czytelnię, gospody, studnię i pocztę.

Wingleburý-Wappen w samym środku głównej ulicy wprost na przeciw małej budowy z ogromną zegarową tarczą, jest najpierwszą gospodą, a razem bursą, biórem poczty, akcyzy; miejscem zebrania komitetu, »*af the blue*« *) przy każdym wyborze, i przysięgłych w czasie posiedzeń, jakoteż główną kwaterą klubu wistowego, *gentlemanów*, partii radykalistów z Wingleburý; a jeżeli do miasta Wingleburý zawędruje jaki kuglarz lub posiadacz gabinetu woskowych figur, albo artysta dający koncerta, natychmiast nieprzeliczona mnogość pisanych ogłoszeń oznajmia całemu miastu że pan ten a ten, ufny w znaną powszechnie wypaniałomyślność mieszkańców Great-Wingleburý którzy w każdym czasie sztuki piękne wspierali, z wielkim kosztem najął obszerną gustowną salę zgromadzenia w *Wingleburý-Wappen*.

Wingleburý-Wappen jest w rzeczy samej obszerną budową i posiada cały labirynt wschodów i przejść, kawiarnię, gościnną salę, i mnogą liczbę *private-chamber*, w których o tyle znaleść się można ubezpieczonym przeciw wszelkiemu natrętctwu, o ile to jest rzeczą podobną w domu, gdzie co pięć minut jakaś zabłąkana istota otwiera prywatny pokój cudzoziemca, a poznawszy błąd swój, usuwa się nazad, aby wszystkie następne drzwi z całego rzędu otwierać, dopóki na własną nie natrafi izbę. Takim jest, i takim był *Wingleburý-Wappen* przed kilką chwilami, to jest przed przybyciem londyńskiego dyliżansu. Z łoskotem pędził tenże po bruku poprzed gospodę, zatrzymał się przed nią, jakaś dama wysiadła z niego, zażądała osobnej izby, i została pod numer 25 wprowadzoną.

— *Thomas!* zawołała pani domu.

— *Ma am* odrzekł Tomasz i ukazał się natychmiast.

— Oto list przyniesiony przez chłopca z pode lwa do pana pod numerem 19.

— Oto list do was, *sir!* rzekł Tomasz i położył go w numerze 19. na stole.

— Do mnie? odrzekł numer dziewiętnasty, i zwrócił głowę, która patrzała przez okno w dziedziniec na przeprzęganie koni w dyliżansie.

— Tak jest *sir!*

Kelnery mają często zwyczaj urywkowo przemawiać — »tak jest, *sir!*« chłopiec zpode lwa *sir; miss* wymieniła numer 19 *sir*; Eugeniusz Trott Esg, *sir*.

— Imię moje jest bezwątpienia Trott, rzekł numer dziewietnasty, list rozpieczętowując. Możesz odejść....

Tomasz podniósł firanki u okna i nazad je spuścił... gdyż dobry kelner musi zawsze wynaleźć sobie coś do czynienia, zanim którą gościnną opuści izbę, uporządkował stojące szklanki na biufecie, otarł stół który niebył zapruszony, zatarł ręce, poszedł zwolna ku drzwiom i zniknął.

List zawierał w sobie coś choć niezupełnie nieoczekiwanego, jednak bardzo nieprzyjemnego. Pan Eugeniusz Trott opuścił go z rąk i znowu wziął go ze stołu, przeszedł się po kilkakroć tam i nazad, i czynił próby, tą razą na nieszczęście zawsze mu się nieudające: zagwizdać jakąś piosenkę. Jakoś mu nieszło w żaden sposób. Zniecierpliwiony rzucił się wreszcie na krzesło i czytał w głos list następującej treści.

Great Wingleburý, pod niebieskim lwem.

Środa przed południem.

Sir!

»Skoro tylko zamiary jego doszły do mojej wie-»dzy, opuściłem natychmiast interesa moje przy biu-»rze i udałem się za waćpanem. Znany mi jest cel »jego podróży... nigdy jej niedokończysz.«

»Niemam tu obecnie żadnego przy sobie przyja-»ciela, na którego milczenie mógłbym się spuścić. To »jednakże niebędzie żadną tamą dla zemsty mojej. Ani

---

*) Radykalistów.

»Emilia Brown niepowinna być dłużej narażaną na »natarczywe nalegania chciwego pieniędzy, wzgar- »dzonego przez nią, jakoteż podłego w oczach wszys- »tkich uczciwych ludzi hultaja; ani też ja dłużej zno- »sić cierpliwie niemyślę podstępnych nagabań jedne- »go pospolitego fabrykanta parasolów.«

»*Sir!* od tutejszego kościoła prowadzi ścieżka »przez łąki do oddalonego miejsca *stiff-acre* zwane- »go (tu dreszcz zimny przejął pana Trott). Na tem »miejscu czekać będę jutro rano o szóstej godzinie »bez minut dwudziestu, na przybycie waćpana, a je- »żeli nieprzybędziesz zrobisz mi tę przyjemność iż »udam się ztąd za tobą dokądkolwiek się schronisz »z szpicrutą w ręku.«

Horace Hunter.

»P. S. Na głównej ulicy pod numerem 15. mieszka »ten co proch przedaje a po zapadnieniu nocy już tam »niewolno nic kupować. Rozumiesz mię *sir?*«

»P. P. S. Dobrze zrobisz jeżeli przed naszem spo- »tkaniem nie będziesz jadł śniadania, oszczędzisz so- »bie przeto niepotrzebnych kosztów.«

— Zapamiętały! krwichciwy! zuchwały drab! wie- działem dobrze iż do tego przyjdzie, zawołał nieszczę- śliwy Trott; jamto zawsze mówił ojcu, skoro mię na tę expedycię wysyłał, iż Hunter jako żyd wieczny ścigać mnię wszędzie nieprzestanie. Już to samo zle, żenić się na rozkaz starych i bez zezwolenia dzie- wczyny; lecz cóż pomyśli o mnie Emilia gdy ja je- szcze bez tchu uciekając przed tą piekielną salaman- drą, stanę przed nią! Cóż mogę? cóż mam czynić? Jeżeli nazad powrócę do *City* (starego Londynu), to zostanę na wieki spodlony, zhańbiony; utracę dzie- wczynę, a co gorsza i pieniądze. Gdybym nawet dy- liżansem udał się jak najspieszniej do *Brovn-house,* czyliż Hunter niedopędzi mię extrapocztą; a jeżeli pójdę do tego przeklętego miejsca *stiff-acre* (tu zno- wu napadł go dreszcz) jak amen w pacierzu będę za- strzelony. Widzialem go na własne oczy jak w *Pall-Mat* na strzelnicy, namalowanego człowieka na sześć strzałów pięć razy trafił i zawsze w drugi guzik od kamizelki a gdy szósty raz chybił, to wypalił w sam łeb po raz siódmy. Cóż mam robić? zawołał powtór- nie pan Eugeniusz Trott, nato pocieszające przypo- mnienie.

Siedział długo z głową opartą o dłoń w głębo- kiem zadumaniu. Wrócić natychmiast do Londynu; to przedewszystkiem byłby najchętniej uczynił. Pomy- ślał jednakże o gniewie obydwoch ojców i o przy- rzeczeniu które stary Brown staremu Trott uczynił, wraz z córką swoją oddać całe swe mienie młodemu Trott. To znowu o liście Huntera zpod niebieskiego lwa. Byłoto rozpaczliwe położenie! Zdecydował się nakoniec, i wysłał posługacza do niebieskiego lwa z biletem, jak na prawego *gentlemana* przystało uło- żonym, w którym było napisano: iż pan Trott pra- gnie krwi pana horaciusza Hunter, i jak najwyraź- niej oświadcza, że niezaniecha stawić się na umówio- nem miejscu, aby pana Hunter wyprawić w podróż do wieczności. Napisał przytem drugi bilet, zadzwo- nił i prosił aby mu drugiego posługacza przywołano. Ten ukazał się natychmiast.

— Czy jesteś z Londynu? zapytał pan Trott.

— Właśnie tam się mam udać, była lakoniczna odpowiedź.

— Dlaczegoż nie jedziesz natychmiast? zapytał dalej pan Trott.

— Bo zmęczyłem szkapę, odwożąc starą panię; dodał z precyzią pocztylion.

— Czy wiadome ci mieszkanie tutejszego burmi- strza?

— Tak, bezwątpienia, odrzekł zapytany ze zna- czącym gestem, jak gdyby miał dobre powody przy- pomnieć sobie o tem.

— Czy niemógłbyś oddać mu ten bilet?

— Dla czegoż nie?

— Bilet ten, mówił dalej pan Trott z paralitycz- nem drzeniem, trzymając złożony papier w jednej dło- ni a w drugiej pięć szylingów, bilet ten jest *anonim.*

— Coż to znaczy?

— Anonim... to jest... iż on niepowinien wiedzieć od kogo bilet ten pochodzi.

— Aha! rozumiem; odrzekł pocztylion, przymru- żając oczu z dowcipną miną, i bez okazania najmniej- szej niechęci przeciw powierzonemu poselstwu; rozu- miem, figlarna sztuczka! he?... Ale nasz burmistrz jest prawnikiem i spi spokojnie. Jeżeli macie jaką do niego urazę, to lepiej zrobicie niewłazić mu w dro- gę.... Niech mię diabli porwą jeżeli mu to niesprawi największej w świecie radości.

Gdyby pan Trott nieznajdował się był w tak roz- paczliwem położeniu, byłby niezawodnie uczciwego pocztyliona albo za drzwi wytrącił, albo zadzwonił i dał radę gospodarzowi by go od służby uwolnił. Nieuczynił jednakże ni jedno ni drugie, podwoił tylko zapłatę i rzekł do pocztyliona iż tu idzie o zaburze- nie pokoju. Poseł oddalił się z uroczystem zapewnie- niem iż zachowa tajemnicę, a pan Eugeniusz Trott, usiadł z spokojnością, jakiej od odebrania listu Hun- tera niedoświadczał, do zastawionego od dawna śnia- dania.

Dokończenie nastąpi.

———

*

PAN WINCENTY.

Czy nie tak się dzieje?

Dokończenie.

Odezwała się muzyka i wkrótce bal się zaczął od polskiego tańca; nie był to wszakże ów taniec poważny w którym nasi pradziadowie zarzuciwszy od kontuszów wyloty szli przy karabelach zwolna w takt i wzniesioną głową. Byłato raczej jakaś podrygująca skakanka, ochrzczona jedynie nazwą polskiego tańca.

Dla tego kiedy w sali wykrzyknięto mazur!... mazur!... usłyszeliśmy z prawdziwem ukontentowaniem tę muzykę wesołą, spiewną, tak silnie przemawiającą do naszych narodowych uczuć.... Niebawnie stanęli liczni tancerze do koła, uderzono hołubca i wkrótce rozmaite pary przesuwały się przed naszemi oczami.

Na moje zapytania pan Teodor będąc dnia tego w wesołym humorze tak mnie zapoznawał z osobami tańczącemi mazura.... Ten jegomość młody, nazwiskiem Ludwik, tańczący w pierwszej parze, jest synem majętnych rodziców, z rzadkiemi zdolnościami i najlepszem sercem; szkoda wielka że przy zabawach które wszakże niezbędną są potrzebą młodego wieku, zaniedbuje zupełnie dalsze ukształcenie umysłowe, któreby go z czasem mogło postawić w rzędzie znakomitych obywateli kraju.

Ta pani z nim tańcująca jest jego kuzyna, widzisz z jak czułem wejrzeniem i giętką kibicią kołysze się na wszystkie strony, niepomna że w domu zostawiła słabego męża i czworo drobnych dzieci.

W drugiej parze ta hoża panna z tak śmiałemi oczami jest córką pani Szastalskiej; taniec jej jest skoczny, wesoły tak jak jej umysł; z nią tańczy pan Walery przystojny i zgrabny młodzieniec, jest on duszą wszystkich balów, polowań i składkowych zabaw; żałuję go jednak szczerze, że swój wykształcony umysł i trafny dowcip na szyderczych trwoni obmowach.

Za niemi tańczył pan Wacław, wysoki, chudy i łysy kawaler; z przykrością patrzałem na jego schorzałą postać i jego niepewne nogi czyniące jakieś nadzwyczajne trele, sądziłem nawet że już ostatnie przebywa skoki.

Kiedy z zdumieniem dowiedziałem się od mego przyjaciela, że ten jegomość mimo ciągłej kuracii i słabego zdrowia żadnej nieopuszcza zabawy, w tem przekonaniu że jego naukowy taniec i zawsze czułe i słodkie dla dam wyrazy, powinny być wzorem dla całej młodzieży.

—»Jestto prawdziwe poświęcenie się dla sprawy krajowej....« odrzekłem memu przyjacielowi. Obok niego posuwistym krokiem i z wielką radością skakała panna Dorota, osoba niskiego wzrostu, pękata i z czerwonem licem; patrząc na tę parę sądziłeś że masz przed oczami prawdziwy obraz... szczęścia z niedolą....

Kiedy za tym ciekawym kupletem śledczem spoglądamy okiem, wyskoczył pan Dionizy z panną Pauliną; czub jego najeżony, rozpięty frak, przechylona postawa, zwiastowały nam jakąś nową scenę, jego dama byłato osoba z długą wyciągniętą szyją; jej loki rozpuszczone i martwe oczy, były wyrazem melancholijnego cierpienia; mimo to niebawnie puścili się żwawo około sali, wymierzając zaraz z miejsca przeciwne muzyce takty; pan Dionizy zapalony tancerz łamał się na wszystkie strony a gdy stanął w miejscu bijąc zawzięcie nogami, panna Paulina około niego wysoko podskakiwała, nakoniec gdy się zaczęli na wszystkie strony wywijać, kręcić i szarpać, z przestrachem dam i mężczyzn padli na śliskiej posadzce.

Na pocieszenie nasze po tak tragicznym wypadku posunął pan Paweł z panią Szymonową; ta z prawdziwą gracią podawszy mu rękę, tańczyła hożo, przyjemnie, bez żadnej przesady, mając wzrok z uśmiechem zwrócony na swego tancerza, który będąc nad miarę otyły, oblewał się potem i sapał w różnych dyrekciach, chcąc gwałtownie na swych ciężkich nogach nadążyć za swoją lekką tancerką. Dla czegoż ten jegomość tak mozolną sobie zadaje pracę? zapytałem mego przyjaciela; jestto sąsiad państwa Szymonów i stały wielbiciel pani Szymonowy, śmieje się ona z niego, nawet i teraz jak widzisz czyni sobie widoczną igraszkę. Lecz że jej mąż ma z nim częste w interesach stosunki, dla tego ta pani nieodmawia mu nigdy pierwszego mazura.

Widać że mu nie wiele sprzyja kiedy tak okropnemi fumigaciami osłabia jego wierne uczucia!

Lecz ktoż jest ten jegomość tak sztywnie stojący z tą wielką brodą i lornetką w ręku? zapewne jaki cudzoziemiec?...

Mylisz się, jestto Polak, goniący zawzięcie za modami obcych narodów, dla tego nieznalazłszy w tem społeczeństwie kompana któryby chciał podzielać jego zagraniczne uczucia nudzi się, i patrząc z litością na nasze nieokrzesane figury, ma pewnie te słowa na myśli: »Biedne istoty! bawią się i skaczą wesoło, bo nie znają bulwarów Paryża... nie znają sławnych polowań Anglików; ani rozkosznych małp nadsekwańskich ogrodów... ani lakierowanych butów londyńskich żokiejów.«

W tej chwili na nasze szczęście ujrzeliśmy w tańcu ładną, kształtną i nader zajmującą pannę Sabinę;

jestto osoba rzadkich przymiotów i wzniosłych uczuć (rzekł mój przyjaciel) szkoda że rodzice dając swej córce tak troskliwe wychowanie, nie pamiętali o przyszłym losie; mówią wprawdzie bardzo głośno o jej zamęzciu z panem Wincentym, co do wieku zachodzi już wielka między niemi różnica, życzyłbym z serca żeby i inne nie zaszły w jej przyszłem szczęściu zawady....

Po ukończonych mazurach nastały inne tańce do których nawet swawolna młodzież wciągnęła pana Wincentego, ten będąc dnia tego swobodnej i wesołej myśli nie tylko że w tańcu krakowskim agronomicznie wyrzucał nogami, ale nawet zaśpiewał o mirtowym wianku kilka rubasznych zwrotek....

Nakoniec przed daniem wieczerzy muzyka spoczęła, a damy zebrały się przy fortepianie, wtenczas usłyszeliśmy kilka ustępów muzykalnych wykonanych przez pannę Sabinę z prawdziwem czuciem i mistrzowską ręką.

Lecz gdy się zbliżył pan Walery, wszystkie damy prosiły go żeby im co wesołego zaspiewał, nie dał się długo namawiać i wziąwszy kilka akordów, miłym lecz figlarnym głosem odspiewał następującą piosnkę, zwracając się często do grona męszczyzn gdzie stał pan Wincenty.

Dopókiż z kwiatka na kwiatek
Przelatać będziesz niestały,
Dopókiż postrachem matek
Napełniać będziesz kraj cały.

Sześćdziesiąt wiosen ubiegło,
Jak dręczysz biedne ofiary,
Krocie rywalów poległo;
Ty zawsze miły i jary.

Dla ciebie Pelagia płonie,
Dla ciebie Róża omdlewa,
Dorota zbiegła w ustronie;
Zofia się łzami zalewa.

Wstrzymaj zapały miłośne
Twoje urocze wejrzenia,
Twe skoki, trele żałośne
I twe mordercze westchnienia.

Ach, przestań bujać z wiatrami
Rzuć wonne pukli czernidła,
Wierżgaj jak dotąd nogami
Lecz ozłoć hymenu sidła.

Przy samym początku tej piosnki panna Sabina z zapłonioną twarzą wziąwszy jedne z swych przyjaciółek pod rękę wyszła do drugiego pokoju, a pan Wincenty śmiejąc się serdecznie wołał po ukończonym spiewie... brawo... brawo....

Lecz gdy młodzież zaczęła krzyczeć bis... bis... pan Błażej z niechęcią oświadczył, że wieczerza na stole; wtenczas damy wziąwszy się pod ręce poszły do sali jadalnej gdzie im męszczyźni ochoczo służyli.

Po wieczerzy tańczono jeszcze kilka godzin, a kiedy pobliscy goście odjeżdżali do swych domów, a dalsi szli na spoczynek do przyrządzonych dla nich pokoi, ja wsiadłszy z panem Teodorem do sanek pojechałem do jego wioski, gdzie z miłą chęcią miałem dni kilka zabawić....

IV.

Przejeżdżając po pięciu latach tę wesołą okolicę, tak żyźną w obfite plony rolnicze, odwiedziłem pana Teodora, gdzie po przywitaniu przyjacielskiem, chciałem się dowiedzić o wielu mnie znajomych osobach, a szczególnie o domie państwa Błażejów, ładnej Sabińci i panu Wincentym.

Przychylając się do mego żądania mój przyjaciel siadłszy obok mnie na sofie, tak zaczął mówić.

W krótkim czasie po twoim odjeździe o niczem u nas niemówiono jak tylko o nastąpić mającym związku małżeńskim panny Sabiny z panem Wincentym. Możesz sobie wystawić jak złośliwe, śmieszne a nawet zazdrośne z tego względu biegały wieści... nic to jednak nie wstrzymało przygotowań weselnych, gdyż dzień nawet do tej uroczystości oznaczony przez pana Błażeja spiesznym zbliżał się krokiem.

Właśnie w tym czasie chcąc wypełnić obowiązki bliskiego sąsiada, a może wyznając szczerze, wiedziony ciekawem uczuciem jakie też na umyśle panny Sabiny tak stanowcze postanowienie uczyniło zmianę, dla której zawsze miałem wielki szacunek, pojechałem w odwidziny do państwa Błażejów.

Tam zastałem gospodarza domu jak zwykle w wesołym humorze, żonę jego z niezachwianym uśmiechem czytającą nowo przybyłe xiążki, a pannę Sabinę nachyloną nad krośnami ze smętną twarzą.

Gdy dano herbatę, dostrzegłem jak była troskliwą w pełnieniu obowiązków gospodyni, z jak czułym wyrazem w oczach podawała herbatę swoim rodzicom, jak często nawet ze łzawem okiem całowała ich ręce. Odgadłem przyczynę tego wzruszenia i pomyślałem sobie.... Biedna... jak wcześnie szuka pociechy.... Lecz czyli te tkliwe uczucia potrafią jej zastąpić obowiązki szczęśliwej żony i matki?. .

Tak sprzeczne widząc ze sobą umysły doznałem nieprzyjemnego wrażenia, i nie bawiąc długo w tym domu powróciłem do siebie.

Nazajutrz bardzo rano z prawdziwem zdumieniem, spostrzegłem wchodzącego do mego pokoju pana Wincentego, prosiłem go ażeby usiadł, co on też z chęcią wypełnił, lecz gdy go pytałem o przyczynę tak rannych odwidzin, zaczął się jąkać, nos wycierać, pokaszliwać, a nakoniec tak się do mnie odezwał:

»Wiesz pan dobrodziej że ja się żenię.« Na znak

potwierdzenia schyliłem głowę.... Ale bo widzisz pan dobrodziej (ciągnął dalej jąkając się) »jabym chciał żeby się kto inny ożenił.« Na te słowa podniosłem raptownie głowę, sądząc że dostał pomieszania zmysłów.... On zaś po krótkiej chwili tak dalej mówił; przeszedłszy ścisłym rachunkiem moje lata i panny Sabiny, obliczywszy wszystkie wypadki *pro* i *contra,* widzę nakoniec bardzo jasno żebym zrobił tą razą zupełnie mylną spekulacią, dla tego chcę kogo innego z nią ożenić, a że ją kocham statecznie, zapiszę jej mój cały majątek, z tym jednak warunkiem żeby młodzi małżonkowie zawsze ze mną mieszkali; tu przestał mówić i nastąpiło między nami milczenie. ..

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia odrzekłem panu Wincentemu. »Myśl pana jest szlachetna i zasługuje na szczerą pochwałę, lecz czyliż pan niemasz jakiego krewnego któregobyś mógł połączyć z panną Sabiną, a tym sposobem nie tylko uszczęśliwiłbyś osobę którą tak tkliwie kochasz, ale nadto majątek twój zostałby w twojej rodzinie?...«

Nie... nie... odparł żywym głosem, mam wprawdzie dalekiego kuzyna, lecz to jest hultaj nad hultajami i dla tego jedynie przyjechałem do pana dobrodzieja abyś mnie z tak wielkiego kłopotu wybawił.

Kiedy to mówił, wpadł mnie na myśl Ludwik młody człowiek troche wprawdzie roztrzepany lecz z najlepszem sercem; słysząc go kilkakrotnie mówiącego z uwielbieniem o pannie Sabinie i wiedząc nadto że i ona nie byłaby przeciwna temu związkowi, oświadczyłem myśl moją panu Wincentemu, który zrywając się z miejsca z największą radością szybkim zaczął po pokoju chodzić krokiem, i bijąc ręką o rękę wołał... brawo... brawo... dobry chłopiec ożenię go z panną Sabiną, a potem zbliżywszy się do mnie mówił z zapałem ... Proszę pana dobrodzieja... jedź... jedź... i powiedz mu, że go zaraz ożenię; to tylko sobie wymawiam, żebyś mnie dał słowo honoru, że przed dniem oznaczonym do mego związku, nikomu półsłówka nie wspomnisz o tej zamianie, i to samo musisz mnie zaręczyć ze strony Ludwika i jego rodziców.

Chętnie przystałem na jego żądania, obiecując że nazajutrz pojadę... Lecz pan Wincenty ściskając mnie oburącz, wołał: Nie... nie... zaraz musisz jechać, nie odstąpię... nawet się z tego domu nie ruszę, póki nie wrócisz.... Nie było więc żadnego ratunku, kazałem zajść powozowi.... A gdy wychodziłem z pokoju pan Wincenty pchając mnie silnie do drzwi wołał ciągle... brawo... brawo... szczęśliwy pomysł....

Możesz się domyśleć, jak łatwo dopełniłem wszystkie zlecenia nie tylko w Ludwika rodzeństwie ale i w domu państwa Błażejów... lecz niewystawisz sobie radości z jaką pan Wincenty w dniu przeznaczonym do swego ślubu, wprowadzał z wielkim bukietem Ludwika na swoje miejsce: Odurzenie obecnych było niepojęte, a szydercze śmiechy i pokątne mowy w jednej chwili, zamieniły się w głośne i szczere uwielbienia....

Po ślubie pan Wincenty śmiejąc się serdecznie, powtarzał każdemu z młodzieży te słowa: »Wszakże i pana prosiłem na wesele«. A kiedy szczęśliwa Sabina została matką ładnego syna, pan Wincenty trzymając go na kolanach pokazywał z żywą radością pani Szymonowej mówiąc »Otoż mam i miłego aniołka.«

Lecz coż się stało z panem Błażejem i jego żoną?

Żyją w mieście z pensii którą im pan Wincenty płaci.

A owa gadatliwa Czepkowska? Szczerze kocha Sabinę i jej małego synka.

A to prawdziwie szczególne zdarzenie!

Na tem podobno trzeba naszą ukończyć powiastkę; wybaczcie łaskawe czytelniczki, że tak patryarchalnie skreśliłem koniec tej gawendy.

Chciałem iść wprawdzie w ślady Balzaków, Bernardów i w strasznych cierpieniach umorzyć moją bohatyrkę.

Lecz czyliż nie dosyć macie w tej chwili obrazów niedoli... zmartwienia.... miałżebym jeszcze rozczulać wasze tkliwe serca zgonem biednej Sabiny?...

Sta ..... Hem...

Stacia pocztowa w Hulczy.

Komedia Józefa Korzeniowskiego w jednym akcie.

Mało jest u nas pisarzy którzyby w raz obranym zawodzie z taką wytrwałością i z takiem powodzeniem pracowali jak Józef Korzeniowski. Zaledwie rozpatrzyliśmy się w zaletach niektórych większych jego tworów, zaledwie odczytaliśmy dwie nowe jego komedie świeżo drukowane w Warszawie, już oto dochodzi nas komedia nowa; a chociaż ta nie jest tego rodzaju iżby się zbliżyć nawet mogła do tworów większych, odczytanie jej jednak, (bo wystawiona w teatrze dotąd niebyła), zrobiło na nas miłe wrażenie i z niego chcemy tu zdać sprawę w kilku słowach.

Żartował sobie niegdyś nasz nie bez talentu i nie bez zasług, ale zbyt uszczypliwy, a dziś z powodu swego renegatostwa potępiony powszechnie pisarz, że niemasz u nas zatrudnienia, w któremby żydek niegrał ważnej a częstokroć też najgłówniejszej roli: jestto, jak powiada, wyskok narodowego przemysłu, i oś około której wszystko się u nas obraca. Złośliwy

ten przycinek odświeżył niedawno w pamięci naszej jeden z synów Izraela, któremu dostała się w ręce osobliwsza a przynajmniej niepraktykowana u nas, gałąź przemysłu: rozwozi on po wszystkich częściach kraju rękopisma najpłodniejszego naszego pisarza i jest, jak nam powiadano, wtajemniczony, w najskrytsze ruchy wyobraźni i poetyckiego natchnienia, których płodami handlować wyłączne ma prawo. Komedia o której mówimy dotyka tejże samej strony w życiu dzisiejszem jednej części narodu. Rzecz dzieje się między Ostrogiem a Dubnem na Wołyniu. Główną osobą Rajcia żydówka, utrzymująca w Hulczy stacię pocztowę. Coto za wyśmienita posada dla przemyślnej izraelitki do koncentrowania wszystkich wiadomostek, wszystkich plotek, całej statystyki sąsiedztwa, a przy lada ogładzie i obrotności, do chwycenia w oswojone z zyskiem ręce swoje najdelikatniejszej tkaniny mariażów, w czasie kontraktów dubieńskich. Przedmiot ten łatwoby mógł przejść u pisarza ladajakiego w karykaturę i w kłamliwe oszczerstwo; u Korzeniowskiego nieprzechodzi on w niczem granic przyzwoitości i prawdopodobieństwa, a wykład rzeczy jest prosty i nie bez wdzięku. Marszałkowa Skalińska wraz z swoją siostrzenicą Hortenzią, pragnącą z każdą minutą zlecić czemprędzej na zabawy dubieńskie, nie zastaje koni na poczcie. Może też je umyślnie pochowano. Niezastaje ich także Erazm Czarnoziemski spieszący dokąd innąd za swemi interesami. Ztąd mimowolne zetknięcie się i znajomość ułatwiona już wcześniej przez gagatliwą Rajcię. Wszystkie te osoby są takie jakbyśmy ich w naturze widzieli. Rozwiązanie, czy jak właściwiej może nazwaćby wypadało, urwanie zawiązanej osnowy w tej sztuce, zdaje się nam bardzo stosowne. Oddzielono tu to co właściwą było komedią i co związane było z tem miejscem, z którego tytuł ułożono. Reszta mogła być wcale innego rodzaju i dla tego z lekka ją tylko natrącono domyślnemu widzowi. Następująca scena między służącym Erazma Marcinem a Kasią pokojówką Hortenzii jest w swoim rodzaju wyborna.

SCENA 7.

KASIA, MARCIN potem TOMASZ.

Kasia i Marcin (*przypatrują się sobie przez chwilę, potem ona idzie do samowaru niby go chce przysunąć*) Ach! jaki ciężki!

Marcin. Proszę mnie pozwolić, kazałbym sobie oczy wyjąć żeby się panieneczka fatygowała kiedy ja tu jestem. (*przysuwa samowar*).

Kasia. Jaki pan Marcin grzeczny! (*dyga*) bardzo dziękuję. Wszak pan, pan Marcin?

Marcin. Do usług. A jak mam honor zwać panienkę?

Kasia. Katarzyna.

Marcin. Znałem już trzy Katarzyny, i wszystkie bestyjki były śliczne jak sto diabłów.

Kasia. A to musiały być bardzo ładne.

Marcin. To się tak tylko mówi; ale jednakowoż żadna niebyła taka jak ostatnia panna Katarzyna, (*chce wziąść jej rękę, ona mu nalewa gorącej wody z herbatniczki*) Aj!... ale to nic, z pięknych rączek wszystko miło. (*d. s. trzepiąc ręką*) Diabła tam nic!

Kasia. Doprawdy? (*d. s.*) A on wcale niebrzydki. (*Tomasz przynosi szkatułkę z cukrem i herbatą*) No dawajże gapiu prędzej.

Tomasz. Aha prędzej, żeby tobie tak skostniały palce jak mnie.... Wam tylko fiu! fiu! w głowie... wałęsać się zimo, niewiedzieć po co, człowiek marznie przy karecie jak pies.

Kasia. Idź, idź ogrzej się, już ja tu przyrządzę sama.

Tomasz. Temci lepiej, a ja napiję się wódki (*odchodzi*).

Marcin. Ale niegrzeczny państwa kamerdyner.

Kasia. Kamerdyner? to sobie prosty lokaj z poddańczuka; nasz kamerdyner pojechał naprzód z kredensem i końmi. A, tamto człowiek wcale nie taki... proszę mi tę szkatułkę przysunąć.

Marcin. (*z partesem przysuwa*) Panna Katarzyna zapewne spieszy do tamtego?

Kasia. (*sypie harbatę*) Wcale nie, bo on już żonaty.

Marcin. To zapewne w domu został taki, za którym serduszko tęskni... który się już upodobał?

Kasia. Niezgadł pan Marcin... mnie nie tak łatwo podobać się jak sobie kto myśli... a potem ja sobie postanowiłam niezajmować się nikim, póki moja panna nie wyjdzie za mąż.

Marcin. To panna Katarzyna tak jak ja. Ja sobie dałem słowo uczciwości, choćby mnie diabli brali, nieprzypuszczać nic do głowy i do serca póki mój pan się nie ożeni.

Kasia. Toby trzeba żeby pan pana Marcina prędko się ożenił, bo jak pan Marcin stracisz zęby i wyłysiejesz, któraż potem pana Marcina zechce?

Marcin. To prawda, aleby trzeba żeby i pani panny Katarzyny wyszła prędzej za mąż, bo inaczej panna Katarzyna będziesz starą panną, a wtenczas... to jakoś trudniej...

Kasia. Do tego nieprzyjdzie.

Marcin. Spodziewam się; a jak się nazywa pani panny Katarzyny?

Kasia. Hortenzia Różnicka.

Marcin. Jakie piękne imię, panna Hortenzia, a! bardzo piękne.

Kasia. (*Płucząc szklanki*) I imię piękne i posag nie lada, i dwie wsie na Podolu, to nie każda ma.

Marcin. (*Wycierając serwetą szklanki które mu ona podaje*) Gdzie tam u diabła każda! Ależ to i pretendentów musi mieć taka panna?

Kasia. Naturalnie. Ale moja pani zupełnie taka jak ja... bardzo wybredna, jej nielada kto się podoba; przytem moja pani widzi bardzo dobrze że teraz u nas młodzi panicze: rozpustni, gracze, fajkarze, próżniaki, tylko im konie w głowie i jarmarki; żaden się niczem porządnem niezajmuje, żaden niestara się być uprzejmym, każdy okopcony dymem jak furman, a zarosły jak żyd. I dlatego dotąd nikogo niewybrała. (*podaje mu herbatniczkę*) Proszę tu nalać wody. A pan pana Marcina jak się nazywa?

Marcin. (*dolewając*) Erazm Czarnoziemski, deputat sądu głównego... czy dosyć?

Kasia. Jeszcze trochę. Zapewne już zaręczony?

Marcin. Zaręczony? gdzie u diabła; mój pan to tak jak ja, niełatwo się kim zajmie.

Kasia. A toż dla czego? ale dosyć! dosyć! ot leje się przez wierzch... jaki pan Marcin niezgrabny!

Marcin. Zapatrzyłem się na pannę Katarzynę i o świecie bożym zapomniałem.

Kasia. Doprawdy? (*d. s.*) A on widzę wcale nie głupi. (*groźno, nakrywając herbatniczkę serwetą*) Niech teraz naciąga, ale dla czegoto panowie tak trudni w wyborze?

Marcin. Ha, byliśmy w Krzemieńcu w szkołach panno Katarzyno, mamy więc rozum. Mojemu panu niełatwo dogodzić, a i mnie także. Mój pan uważa to dobrze: że teraz panny lubią tylko kontrakty, bale, stroje, że siedząc w domu, zamiast co czytać, lub co szyć, patrzą tylko w okno czy nie jedzie jaki żydek z towarami, żeby jak najwięcej nakupić; lub jaki gość, żeby jak najprędzej się wystroić. Mój pan człowiek stateczny, rozumny, ma dużo xiążek, wielkie gospodarstwo, majątek czysty i chiałby żeby i jego żona była rozumna i gospodarna; a takich teraz mało. Słyszałem nieraz jak mówił: kto się w tych czasach żeni, zwykle nabywa długów, pełną garderobę niepotrzebnych gałganów, i pełne szafy francuskich romansów; a mój pan boi się długów i romansów jak wszystkich diabłów: i ja także.

Kasia. (*d. s.*) Widzisz go, moją miarką mi odmierza... pewnie wysłany na zwiady... ale, nie w ciemię bity....

Marcin. (*d. s.*) Filutka pewno ma jakieś polecenie... niema co mówić, śliczna i sprytna bestyjka!...

Kasia. (*Zaglądając do herbatniczki*) Kiedy pan pana Marcina taki stateczny człowiek, to musi już być w pewnym wieku?

Marcin. Wcale nie; mój pan ma trzydziesty rok... a mnie też wiele?... jak panna Katarzyna myśli?...

Kasia. Sądząc po tym rozumie, z jakim pan Marcin gada... myślę że musisz mieć najmniej lat ze czterdzieści.

Marcin. O co to, to już panna Katarzyna tęgo skłamała; mnie dopiero lat dwadzieścia jeden do usług; co? może panna Katarzyna nie wierzy?

Kasia. Wierzę; ale herbata już dawno gotowa.

Marcin. (*czule*) Ach to szkoda panno Katarzyno.

Kasia. Czemuż to panie Marcinie?

Marcin. (*bierze jej rękę*) Bo mi tak miło z panną Katarzyną konwersować... bodaj mnie diabli wzięli jeżelibym piechotą nieposzedł za panną Katarzyną do Dubna.

Kasia. A pan Marcin taki trudny w wyborze?... ale proszę mnie puścić, trzeba paniom dać znać.

Marcin. Czy my się zobaczymy jeszcze kiedy panno Katarzyno?

Kasia. Na tamtym świecie panie Marcinie (*d. s.*) wolałabym jednak na tym. Zeby to moja panna miała rozum (*głośno*) *Adieu* panie Marcinie! (*odbiega*)

Marcin. (*sam*) Aj! żebyto mój pan miał olej w głowie i przypuścił do tej panny atak miłośny..... wtenczasbym i ja.... bo ta Kasia to dziewczyna jak złoto, bodaj mnie diabli wzięli! (*zamyśla się*).

Koncert Samuela Kossowskiego.

Dnia 24 kwietnia miłośnicy i znawcy muzyki doznali bardzo przyjemnego wrażenia. Sławny nasz wiolonczelista Samuel Kossowski po kilkoletniej podróży swojej dał pierwszy koncert w sali towarzystka muzykalnego. Grał same własne swoje utwory, które szły po sobie w następującym porządku. 1) Ouwertura. 2) Wariacie na temat piosnki: pożegnanie domku, z operetki **król duchów alpejski**. 3) Fantazia melancholijna, grana bez towarzyszenia orkiestry. 4) Ouwertura. 5) Karnawał wenecki 6) Potpourri Koncercista znany jest dobrze naszej publiczności, tu bowiem przez lat kilka ćwiczył się w swoim zawodzie Uważano że ostatnia podróż nadzwyczaj posłużyła mu do rozwinięcia w całej świetności wysokiego swego talentu: stanął on już na stopniu na którym mierzyć się może z największemi muzykami w Europie, a jako wiolonczelista jest dziś zjawiskiem bardzo rzadkim. Słyszeliśmy że zabawi między nami czas dłuższy, i da jeszcze więcej koncertów. Niniejszy mimo cen nieco za wysokich był dość liczny, a częste brawa i rzęsiste oklaski świadczyły że publiczność była w wysokim stopniu zadowolniona.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.